

Tuszyński, Bogdan

Witold Dobrowolski

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 32/1, 101-114

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BOGDAN TUSZYŃSKI (Warszawa)

WITOLD DOBROWOLSKI

Witold Dobrowolski (15 XI 1912 Sosnowiec – 14 VII 1975 Henryków pod Warszawą), syn Adama i Leokadii z domu Piga – jak pisze jego przyjaciel, historyk radia Maciej J. Kwiatkowski – w zamysłach rodzinnych i z woli ojca miał być dziedzicem rodzinnego przedsiębiorstwa i działaczem gospodarczym. Urodził się w Sosnowcu, czyli w Zagłębiu Dąbrowskim, na zachodnim skraju zaboru rosyjskiego, w pobliżu Trójkąta Trzech Cesarzy – gdzie zbiegały się granice zaborów: rosyjskiego, pruskiego i austriackiego, na terenach ostrych napięć społecznych i narodowościowych. Wyrastał w rodzinie o pięknych tradycjach patriotycznych, w której wspomniano pradziada Jakuba, wstawionego walecznością na Kielecczyźnie w czasie powstania styczniowego, angażowano się w działalność niepodległościową, a po roku 1918 w obronę i zagospodarowanie Zagłębia i Górnego Śląska w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej.

Ale w latach chłopięcych pasją Witolda Dobrowolskiego był przede wszystkim sport. „Wystarczy sięgnąć do pamięci – pisał on w 1969 r. – Właśnie zawiodła mnie ona na dość nędzne boisko w jednej z dzielnic mojego miasta, na »stary Sosnowiec«. Ojciec zaprowadził małego chłopaka na mecz piłki nożnej. Mój pierwszy mecz w życiu. W białoczerwonych kostiumach grał KS Sosnowiec, to pewne. Ale z kim? Może był to lokalny rywal, biało-zielone TS Victoria z dzielnicy Pogoń? Byłem oczarowany, wzięła mnie ta gra. A już najbardziej obrońca Sosnowca – Walter. Żyłasty chłop, o krzywych nogach, wybijał piłkę byle dalej od swojej bramki. Opuszczałem boisko wprost nieprzytomny. Po prostu zakochałem się od pierwszego wejrzenia. Była to miłość gorąca i wierna, trwa do dzisiaj. I niech wybaczy mi Pele, ale dla mnie najlepszym piłkarzem świata pozostanie na zawsze Walter. A przecież był jeszcze i własny ojciec, który bardzo lubił ścigać się na rowerze, i był stryj – Władysław – trzykrotny olimpijczyk, lekkoatleta, a potem szermierz. Ale piłka nożna była ponad wszystko. No, a ja sam? Oczywiście ganiałem za piłką, potem biegałem z rakieta tenisową, a dzięki szkole – był paroletni flirt z koszykówką. Najważniejsza jednak była piłka nożna, zwłaszcza w KS Huragan.

Założyli ten klub chłopcy z mojej dzielnicy, z Sielca. Trenowało się na pustym placu – boisku nad Przemszą. Asami Huraganu byli – Władek Kosmala i Albin Banach. Co to byłby za wspaniały zawodnik w dzisiejszych tak dla sportowców dobrych czasach. Grali też w Huraganie Stasiék Lemberger i Maks – Gęborek. Dobrzy piłkarze. To też były asy. Występowali potem w dużych, prawdziwych klubach. A ja? Trochę tam kopałem, słabo, ale wreszcie moje nie najmniejsze serce »stanęło dęba«. Dalej już nie było można”.

Z ZAGŁĘBIA DO... RADIA W WARSZAWIE

Lata szkolne Witka – pisał dalej M. J. Kwiatkowski – przypadają już na lata II Rzeczypospolitej. Ukończył (1931) ciesząc się bardzo dobrą opinią, z racji wysokiego poziomu i patriotycznych tradycji, humanistyczne gimnazjum im. Bolesława Prusa w Sosnowcu. Ojciec, Adam Dobrowolski, podobnie jak i dziadek – Józef – zajmowali się handlem, trochę przemysłem, jednocześnie działając w różnych organizacjach zawodowych i społecznych, nie stroniąc także od działalności publicznej: ojciec był radnym miejskim i działaczem w samorządzie kupieckim. Ten zmysł społeczny i wrażliwość na sprawy publiczne odziedziczył także Witold.

Po maturze ojciec wysłał starszego syna do Warszawy na studia ekonomiczne do ekskluzywnej, nowoczesnej Wyższej Szkoły Handlowej, wówczas jeszcze prywatnej i bardzo drogiej. Oczyma duszy widział ojciec wykształconego, nowoczesnego menedżera, który wróci do rodzinnego Zagłębia i w rodzinne interesy tchnie ożywcze go ducha nowoczesności, wspartego gruntowną wiedzą. Witold przestudiował jedynie 3 semestry, aby stwierdzić, że te studia „nie odpowiadały moim zainteresowaniom”. Była z tego mała burza w rodzinnym gronie, ojciec cofnął apanaże, ale Witold z charakterystyczną dla niego ambicją uważał, że podejmując własne decyzje powinien także usamodzielnic się i przejść na własne utrzymanie. W następnym roku ukończył 21 lat i został powołany do podchorążówki rezerwy piechoty 73. pułku piechoty w Oświęcimiu. Wyportowany (w tenisa grywał od dziecka), fizycznie sprawny, a jednocześnie koleżeński, przyjazny ludziom, towarzyski – odbył służbę wojskową gładko, zyskując dobrą opinię, skoro do 1939 r. zdążył z podchorążego awansować na podporucznika i porucznika rezerwy. Jesienią 1934 r., zwolniony z wojska, zaczął się rozglądać za jakąś stałą pracą, o którą w tych czasach nie było łatwo: „posada” była pojęciem, do którego wzdychało wielu młodych inteligentów po maturze. Dokładnie w dniu 15 listopada 1934 r. dokonał się w jego życiu zwrot, z którego znaczenia nie zdawał sobie wówczas w pełni sprawy: otrzymał pracę w Wydziale Kontroli Polskiego Radia, czyli w dziale, którego głównym zadaniem było ściganie radiopajęczarzy, walka z zakłóceniami i sprawdzanie prawidłowości założenia anten. Było to może ciekawe, ale w ogóle otrzymanie pracy w Polskim Radiu, instytucji modnej, cieszącej się popularnością i... dobrze płacącej, z pewnością można było zaliczyć do życiowych sukcesów.

Witold nie zagrażał długo miejsca w pałacyku Łubieńskich przy Mazowieckiej, gdzie mieścił się jego wydział. Jesienią 1936 r. Polskie Radio ogłosiło publiczny konkurs na sprawozdawcę sportowego, a jednym z jego laureatów został mało znany dotąd pracownik Wydziału Kontroli – Witold Dobrowolski. Skutek był taki, że przeniesiono go z Mazowieckiej do rozgłośni na Zielną, gdzie mieścił się Wydział Aktualności i podległy mu Referat Sportowy (pracował w jednym pokoju z Aleksandrem Rekszą, po wojnie, w latach 1945–1954 organizatorem i kierownikiem Redakcji Sportowej PR w Warszawie).

Witold, laureat konkursu dla sprawozdawców – pisał o Dobrowolskim M. J. Kwiatkowski – nie szybko jednak stanął przy sprawozdawczym mikrofonie. Na początku był okres inicjacji dziennikarskich, redagowanie wiadomości, omówień i komentarzy, sylwetek zawodników itp. A że trafił pod dobrą rękę, przede wszystkim zdolnego i życzliwego Aleksandra Rekszy, z którym się na wiele lat

zaprzyjaźnił, postępy były szybkie. Owocowała także praca dobrego polonisty z sosnowieckiego gimnazjum, który Witolda odpowiednio „zaprogramował” w „ojczyźnie–polszczyźnie”. Pisał więc Witold radiowe pogadanki o sporcie i turystyce, oswajał się z pracą w radiu w ogólności, a w studiu i przy mikrofonie w szczególności, podpatrywał z bliska sławnych już sprawozdawców, a zwłaszcza najślawniejszego wówczas Wojciecha Trojanowskiego. Pewną popularność przyniósł mu cykl pogadanek *Akumulator zdrowia*, który propagował ruch na świeżym powietrzu, w słońcu i wodzie, dla podniesienia sprawności i dobrego samopoczucia. Propagował wycieczki rowerowe i kajakowe, doradzał trasy turystyczne, upowszechniał turystyczny *savoir vivre*. Współpracował także z polskimi programami krótkofalowymi dla Polonii europejskiej, północno- i południowoamerykańskiej. Znajdujemy też nazwisko Witolda w przedwojennym tygodniku radiowym pod dużym reportażem z dwudniowych ćwiczeń obrony przeciwlotniczej w Warszawie w marcu 1939 r. oraz z zawodów FIS w tymże roku. Aby uzupełnić wykształcenie, rozpoczął studia w Akademii Nauk Politycznych, uczelni na dobrym poziomie, lecz do wojny zdołał zakończyć jedynie dwa semestry.

W dniach 19–21 maja 1939 r., już po słynnym przemówieniu ministra Becka, gdy sytuacja polityczna bardzo się zaostrzyła, Witold Dobrowolski zyskał swoją największą szansę jako samodzielny sprawozdawca: relacjonował spotkanie Polska–Niemcy w ramach pucharu Davisa, rozgrywane na kortach Legii w Warszawie.

Sierpniowy urlop spędzał nad jeziorami augustowskimi na wędrownych wczasach – łądem i wodą – jak propagował to w swoich audycjach. Urlop przerwało wezwanie „cichej mobilizacji”. Mało kto wierzył, że wojna wybuchnie naprawdę. W życiu Witolda Dobrowolskiego dokonywał się brutalny zwrot: w ciągu niespełna trzech lat, odkąd odkrył swe powołanie zawodowe, życie zaczęło się do niego uśmiechać. Miał dobrą pracę, zawód, w 1937 r. ożenił się...

Jako porucznik rezerwy został powołany do 81. pułku Strzelców Grodzieńskich im. króla Stefana Batorego z 29. grodzieńskiej dywizji piechoty, która znajdowała się w stadium pospiesznego formowania, gdy wybuchła wojna. Dywizja wchodziła w skład Armii Prusy, stanowiącej odwód strategiczny Naczelnego Wodza. Swoją chrzest wojenny przeżył por. Dobrowolski już 5 września w ciężkim boju pod Sulejowem z niemieckim korpusem pancernym, który potężnym uderzeniem przebił się w kierunku Częstochowy i parł na Warszawę. Dowodzona przez płk. Ignacego Oziewiczza 29. dywizja stawiała zacięty opór, lecz atakowana przez czołgi i nurkujące samoloty poniosła ciężkie straty, a zwłaszcza 77. Lidzki pułk piechoty im. Ludwika Narbutta, który został doszczętnie rozbity. 81. pułk Strzelców Grodzieńskich wyszedł z tego starcia stosunkowo obronną ręką i usiłował w następnych dniach uformować się na lewym brzegu Pilicy, by następnie w ciężkich walkach wycofywać się na wschód. Witold i jego pułk trafili w samo oko cyklonu – prestiżowe uderzenie niemieckie, którego celem było zajęcie Warszawy z marszu, w ciągu kilku dni. I rzeczywiście – ten korpus pancerny dotarł pod Warszawę już 8 września. Lecz o zajęciu stolicy z marszu nie mogło być mowy: szarżujące tak zwyczajnie dotąd czołgi pancerne korpusu zapłonęły na rogatkach Warszawy...

Witek ze swoimi strzelcami grodzieńskimi toczył tymczasem wojnę, która przypominała raczej działania zagończyków niż partyzantów, zapadając w dzień po lasach, przemieszczając się nocami, dopadając nieprzyjaciela gdzie się dało.

W nocy z 10 na 11 września roznieśli na szosie pod Krakowem niemiecką kolumnę, podpalając i niszcząc samochody i wozy bojowe. Były to jednak nikłe sukcesy wobec przewagi hitlerowskich wojsk, których pierścień zacieśniał się coraz bardziej i utrudniał przebijanie. Tylko niewielkim grupom grodzieńskich strzelców udało się przebić. Witold dostał się do niewoli.

Przeszło pięć lat spędził za drutami oflagu VII A w Murnau. Dla sportowca, człowieka ruchliwego i czynnego, propagującego ruch „na świeżym powietrzu, na łądzie i w wodzie”, bezczynne zamknięcie za drutami było wyjątkowo dokuczliwe.

Gdy obóz w Murnau został 29 kwietnia 1945 r. wyzwolony, a w kilka dni później wojna została zakończona, Witold Dobrowolski nie ulegał rozterkom i wahaniom, tylko jednym z pierwszych pociągów repatriacyjnych, dotarł w rodzinne strony, do Katowic. Odnalazł matkę i młodszego brata – ojciec, aresztowany przez gestapo, osadzony w Oświęcimiu, został następnie zamordowany w Gross-Rosen. Rodzina przeżyła ciężkie chwile: rodziców wyrzucono z domu do mieszkania na przedmieściu już w 1940 r., brat walczył w kampanii wrześniowej, a następnie działał w podziemiu. Rodzina Dobrowolskich, jak miliony innych rodzin polskich, dzieliła polski los, spełniając swój patriotyczny obowiązek. I ona złożyła swoją ofiarę – Witold nie zobaczył już ojca, którego przelotnie pożegnał w 1939 r. Czekał go jeszcze jeden cios osobisty: rozpadło się jego małżeństwo.

15 października 1945 r. Witold Dobrowolski zostaje zatrudniony w Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach jako sprawozdawca i kierownik Redakcji Sportowej. Rozpoczyna się siedemnaście najlepszych lat w życiu Witolda. Tak się składa, że w Rozgłośni Katowickiej w latach czterdziestych skupił się znakomity zespół świetnych radiowców, w tym wielu przedwojennych, jak choćby dyrektor rozgłośni Edmund Odorkiewicz czy Zdzisław Hierowski oraz tacy znani później z Warszawy, jak Antoni Pawlikiewicz czy Zenon Wiktorczyk. Euforia odbudowy, tworzenia, zagospodarowania Ziemi Odzyskanych, tak charakterystyczna dla tych lat powojennych, ogarnęła także Witolda. Etatowo miał zajmować się sportem, lecz w praktyce stał się sprawozdawcą radiowym z najróżniejszych imprez (mimo iż nigdy nie należał do żadnej partii politycznej): w programie ogólnopolskim prowadził transmisję z Opolą, w dniach 14 i 15 września 1946 r., z wielkiej manifestacji powrotu Ziemi Odzyskanych do Macierzy, w której wzięło udział sto tysięcy ludzi; transmisja z kopalni, zlotu harcerskiego w Katowicach, wysłanie z chorzowskiego Konstalu konstrukcji dla odbudowywanego mostu Poniatowskiego w Warszawie, wstrząsająca transmisja z byłego obozu zagłady w Oświęcimiu – oto sprawozdania, które dotąd wspominają słuchacze. Był także konferansjerem niezmiernie popularnej w tamtych latach audycji *Przy sobocie po robocie*. Podczas jednej, szczególnie uroczystej obchodzonej Barbórki w ciągu dwunastu godzin przeprowadził siedem bezpośrednich transmisji! Ale oczywiście największą popularność u rozmówianych w sporcie Ślązakach zyskiwał sobie sprawozdaniami z imprez sportowych (pierwszą bezpośrednią transmisję przeprowadził W. Dobrowolski w kwietniu 1946 r. z meczu piłkarskiego RUK Sosnowiec-Prostejov ČSR). W sumie złożyło się tego na dobre kilka tysięcy i wyliczenie wszystkich zajęłoby gruby tom. Przypomnieć należy jedynie pierwszą po wojnie transmisję z międzypaństwowego meczu piłki nożnej Polska-Czechosłowacja, przekazaną przez Witolda z Pragi 31 sierpnia 1947 r. W rok później

transmitował z Kopenhagi mecz piłkarski Polska–Dania, a w tym samym roku relacjonował pierwsze w swym życiu sprawozdawcy Igrzyska Olimpijskie w Londynie. Później obsługiwał jeszcze Igrzyska Olimpijskie w Helsinkach (1952), Cortina d’Ampezzo (1956), gdy Franciszek Groń-Gąsienica zdobył pierwszy medal dla Polski na zimowych igrzyskach, w Rzymie (1960). Dziesięć razy jechał Witold z Wyścigiem Pokoju, relacjonował bokserskie mistrzostwa Europy w Warszawie (1953), Berlinie Zachodnim (1955), Pradze (1957), Lucernie (1959), hokejowe mistrzostwa świata w NRF (1955) i ČSR (1959).

Miłośnicy sportu w Polsce zawdzięczają Witoldowi Dobrowolskiemu i jego kunsztowi sprawozdawczemu tak wielkie przeżycia, jak sławny mecz Węgry–Anglia w Budapeszcie czy trzy głośne piłkarskie mecze eliminacyjne o wejście do finału między reprezentacjami Polski i ZSRR, stoczone w Moskwie, Chorzowie i Lipsku w pamiętnym 1957 r.! (transmisje z meczu chorzowskiego oraz z bokserskich mistrzostw Europy w Warszawie cenili sobie W. Dobrowolski najbardziej).

Powróćmy znów na chwilę do wspomnień...

ACH TEN FATALNY LONGINES!!!

EDMUND OSMAŃCZYK PRZYPADKIEM PRZY SPORTOWYM MIKROFONIE

Piłkarskie mistrzostwa świata w Szwajcarii. Polskie Radio po raz pierwszy gości na tego typu imprezie. Swoje wrażenia do kraju przekazują: Witold Dobrowolski i Tadeusz Pyszkowski.

4 lipca 1954 r. Tuż przed wielkim finałem NRF–Węgry.

Wspomina Witold Dobrowolski: „Nie wychodziliśmy przed meczem z hotelu. W takim dniu nie wolno się dekoncentrować. Przypominaliśmy sobie różne historyjki piłkarskie, wszystko może się przydać w czasie transmisji.

Na stadion (15 minut drogi) wyruszyliśmy półtorej godziny przed meczem. Tak przynajmniej wskazywała moja »pasówka« z dumnym napisem na tarczy – Longines. Kupiłem ją w 48 roku w Warszawie, przed wyjazdem na Olimpiadę w Londynie. Chodziła przywoicie, byłem z niej bardzo dumny. Uszliśmy jakieś 200 metrów. Przed nami stara wieża, a na niej wielki zegar z płataniną cyfr i różnych znaków. Nigdy nic z tego nie rozumiałem. Tadeusz, jak zwykle, zadął głowę, i naraz – przeraziłem się. Mój kolega jednym susem znalazł się na wąskiej jezdni i dalej wrywać galopem przed siebie. – Zwariował chłop – pomyślałem. Wrzasnąłem za nim, ale gdzie tam. No to i ja galopem. Zdaje się, że zrównoważeni spokojni Szwajcarzy wskakiwali do bram i sklepów. Wcale im się nie dziwiw, byli ogromnie zdumieni. A teraz wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy dopadłszy wreszcie taksówek, spojrzałem na zegar dworcowy. Mecz Węgry–NRF, mecz o tytuł mistrza świata, toczył się już od pięciu minut. Zwariować można.

Dopadliśmy bram stadionu a tu klops: wejście solidnie pozamykane, a porządkowy słuhać nawet nie chce. Na wszelki wypadek przywołałem dwóch panów w krótkich pelerynkach i kepi. Dobrze chociaż, że nie przylecieli z kaftanami bezpieczeństwa. Na nic nasze argumenty, legitymacje i specjalne znaczki mistrzostw. A niech szlag trafi taki idealny porządek. Aż się gotowałem ze zdenerwowania i wściekłości. Co stadion ryknął, to ja już widziałem bramkę. Trzeba było wreszcie siłą sforsować przeklęte wrota. Po prostu nie było innego sposobu.

Stoimy wreszcie u stóp wielkiej trybuny, która aż kipi z emocji. Wysoko nad

dachem – kabiny radiowe. Trzeba się do nich dostać, ale jak, którędy? Cizba ludzka niesamowita. Za mną – wrzasnałem, niczym Napoleon na moście pod Arcole. Przeskakując nad przerażonymi ludźmi sforsowałem tę żywą oporną ścianę. Wylądowałem wreszcie przy skrajnej kabinie. Nie pamiętam dobrze, ale zdaje się była to kabina radia zachodnioniemieckiego. Dysząc z wysiłku, klęczałem, bo nie chciałem przeszkadzać sprawozdawcy. Chciałem się przemknąć, gdy oto jakiś facet zagradza mi nogą drogę. Nadgorliwiec! Gorączkowo pokazuje na mi, że ja muszę przejść, a ten nic, znów wysuwa nogę. Trudno, stało się. Facet sam tego chciał. Złapałem go za nogę, szarpnąłem i posłałem gościa między widzów. Na czworakach dobrnąłem do naszej kabiny. I tu – koniec – zdurniałem doszczętnie. Mikrofon trzyma w garści znany reporter i publicysta, Edmund Osmańczyk. Żeby tylko trzymał, ale on coś tam opowiada. Z wrażenia nie mogłem się »podnieść«. Osmańczyk zobaczył mnie i jak nie wrzaśnie: – »Gdzie do cholery szwendacie się«. Rozpaczliwie, błagalnie pokazuje na mikrofon, że otwarty, że wszystko przecież słyhać.

– W nosie to mam! Ja się tu muszę wygłupiać, a was gdzieś nosi... A zły był, aż czerwony. Nawet to ładnie kontrastowało z jego siwą grzywą. Sytuację uratował szwajcarski technik: – »Warszawa prosi«. Skokiem byłem przy telefonie. Co za ulga. To nie była bezpośrednia transmisja, to było tylko nagranie. Krzyk Janka, bo tak Osmańczyka nazywano w stosunkach koleżeńskich, usłyszano w Warszawie. Krzyczał tak, że chyba i bez mikrofonu by go usłyszano. Po minucie rozpoczęła się nareszcie bezpośrednia transmisja. Nareszcie wyplułem sakramentalne »Hallo, hallo«...

Była to 15-ta minuta gry. Węgrzy prowadzili 2:0. Wszystko planowo. A później coś się w tym planie popsuło. Na próżno wielki reżyser drużyny węgierskiej, chyba najlepszy na świecie pomocnik Jozsef Bozsik pchał swój atak idealnymi podaniami. W ataku, przyzwyczajonym do gry »na Puskasa«, kontuzjowany był właśnie Puskas. Wyraźnie utykał, napastnicy byli piekielnie zdenerwowani. Brakło im normalnej swobody, polotu i precyzji. Ale gdy przed końcem meczu prawoskrzydłowy Rahn zdobył dla NRF trzecią bramkę, Węgrów jakby ogniem przypalił. Dwoili się i troili. Bozsik posłał piłkę do Puskasa, a ten strzelił tak, że bardzo dobry bramkarz niemiecki, Toni Turek skapitulował. Węgrzy podnieśli głowy, wyprostowali się. Krótka jednak była ich radość. Sędzia główny Anglik (nazwiska nie pamiętam) pogadał z liniowym, p. Griffithem (Walijczykiem) i bramki nie uznał. To już był koniec. Ale Węgrzy walczyli nadal. Tuż przed końcowym gwizdkiem Czibor (myślę, że to on był) strzelił w samo okienko. Cudowny strzał! Już widziałem piłkę w siatce. Ale Toni Turek miał wielki dzień, jakimś cudem sparował ten strzał. I teraz już naprawdę był koniec.

Po gwizdku na stadionie przez moment zaległa cisza. Jak gdyby wielotysięczny tłum nie wierzył własnym oczom. Ja odczuwałem ten moment (a nie byłem samotny), jako chwilę dojmującego żalu za utraconą szansą sportową. Wielką szansą”.

„TRENER” MŁODYCH RADIOWCÓW

Obok tych wielkich i głośnych imprez międzynarodowych Witold Dobrowolski obsługiwał niezliczone mnóstwo zawodów lokalnych na rodzinnym Śląsku, gdzie był ogromnie popularny. Gdy z okazji 10-lecia działalności powojennej

Rozgłośni Katowickiej przeprowadzono nieoficjalny plebiscyt wśród słuchaczy na najpopularniejszą postać radiową – Witold Dobrowolski pobił wszystkich pozostałych w stosunku, który można by ująć sportowo 10:1. Na widok radiowego wozu transmisyjnego mówiono: „Oho, Dobrowolski jedzie”, a jego charakterystyczną sylwetkę w jasnym prochowcu i granatowym berecie znali wszyscy. Gdy w letnie niedzielne przedpołudnia szło się wyludnionymi ulicami śląskich miast, ze wszystkich okien mijanych domów towarzyszył głos Witolda Dobrowolskiego, relacjonującego jakiś lokalny mecz. Cały Śląsk zaśluchany był w głos swojego sprawozdawcy, przeżywając bardzo emocjonalnie sprawozdanie, o czym świadczyły wymownie okrzyki z różnych mieszkań, łączące się w zgodny chór: „Pierrruna!!”.

Jako wieloletni kierownik redakcji sportowej w Katowicach – wspominał M. J. Kwiatkowski – Dobrowolski dał się poznać nie tylko jako dobry zwierzchnik i kolega, lecz także swoisty „trener” młodych radiowców. On odkrył i doszlifował zawodowo Władysława Wicierzyńskiego, Jana Ciszewskiego czy Romana Paszkowskiego, w którego ręce z pełnym zaufaniem przekazał kierownictwo katowickiej redakcji sportowej, gdy 13 października 1962 r. przechodził do Telewizji w Warszawie (31 października 1963 r. przejął po K. Grudzie kierownictwo Redakcji Sportowej TVP).

Przeniesienie do stolicy z rozgłośni regionalnej wielu traktowało jako godny pozazdroszczenia uśmiech losu, przeniesienie do fascynującej i modnej telewizji jako wielki awans zawodowy i niebywałą szansę zarobkową. Dla Witolda Dobrowolskiego nie było ani jednym, ani drugim. Z sumiennością i rzetelnością jemu właściwą starał się wywiązać z przyjętych obowiązków. Przykładem tego niech będą choćby bardzo trudne realizacje telewizyjne związane z olimpiadami w Tokio i Meksyku (ta była wyjątkowo udana i spotkała się po raz pierwszy z niezwykle żywą i entuzjastyczną aprobatą widzów). Witold poświęcił im cały czas i wszystkie siły. Ale telewizja to był już inny środek wyrazu, inna estetyka, inna organizacja. Różne też były zwyczaje i obyczaje, stosunki i atmosfera od tych, do których od 30 lat przywykł w Polskim Radiu.

Trzydzieści lat pracy w radiu, wojna, obóz jeniecki, intensywne prace podjęte w kilka miesięcy po zakończeniu wojny, spalająca, pełna napięcia i zaangażowania osobowości, trud sprawozdawcy, w skwarze i na mrozie, na wietrze i deszczu, męczące podróże – to wszystko wywarło swe piętno. Trudno powiedzieć, że Witolda Dobrowolskiego nie szanowano w Polskim Radiu i Telewizji, ale trudno też stwierdzić, żeby się nim dostatecznie opiekowano. W tym warszawskim okresie nie wiodło mu się w sprawach osobistych, również i zdrowie zaczęło szwankować (jak wiadomo, zdrowie rzadko szwankuje człowiekowi, któremu się wiedzie). Mamy różne instytuty medycyny: lotniczej, sportowej nawet tropikalnej – nie mamy jednak nawet załączka instytutu, który by się zajął rzetelnymi badaniami nad wysiłkiem pracowników różnych działów radia i telewizji. Czasem tylko statystyka wykaże alarmujące dane, np. że zaledwie co piąty dziennikarz dożywa wieku emerytalnego. A sprawozdawcy i reporterzy radiowi i telewizyjni? Lotnicy nawet w największym napięciu wojny musieli przymusowo odpoczywać po określonej liczbie wylatanych godzin. Kierowca transmisyjnego wozu ma prawo odmówić dalszej jazdy, gdy wyczerpie limit godzin. A sprawozdawca?

W sportowej redakcji telewizji – wspominał swego przyjaciela M. J. Kwiatkowski – Witold Dobrowolski zaliczył trzydziestolecie swej pracy w Polskim

Radiu, lecz pogarszający się stan zdrowia spowodował jego następne przeniesienie: 1 marca 1969 r. został starszym publicystą w Naczelnej Redakcji Informacji i Publicystyki Centralnej dla Zagranicy. Było to spokojne miejsce pracy, ale Witold nie mógł odczuć tego inaczej, jak odstawienie na boczny tor. Zdumienie może budzić fakt, że nikomu nie przyszło do głowy, aby spożytkować jego doświadczenie, wielkie talenty i zamiłowanie do szkolenia czy opieki nad młodymi pracownikami. Zaledwie cztery lata przetrwał Witold na tym stanowisku. Nikt mu krzywdy nie robił, otrzymywał wiele dowodów uznania – Złoty Mikrofon, cenioną nagrodę krytyki radiowej (1974) i Nagrodę prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji za całokształt radiowo-telewizyjnych osiągnięć (1975), był także odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (1950 i 1953), Krzyżem Kawalerskim (1954) i Oficerskim Orderem Odrodzenia Polski (1961) – otaczał go szacunek i życzliwość, niemniej twarz jego znaczyło coraz silniej piętno zawodu i goryczy. Ten dobry, szlachetny człowiek potrafił pozyskać trwałą, głęboką i mocną męską przyjaźń – nie zaznał trwałego szczęścia w pożyciu małżeńskim. Wszystkie cztery małżeństwa kończyły się rozwodami. W każdą kolejną miłość Witold angażował się w sposób romantyczny, uległy, bardziej jako *cavaliere servente* asystujący kobiecie, spełniającej jej życzenia, niż jako mąż, bardzo ciężko pracujący mężczyzna, oczekiwany w ciepłym, rodzinnym domu. Uwielbiał swoje kolejne coraz młodsze żony – a one od niego odchodziły, zawierały inne małżeństwa, rodziły dzieci. Witold został sam, gdy z końcem maja 1973 r. prosił o zwolnienie z pracy i przejście na przedwczesną emeryturę, pisał: „Pośpiech spowodowany jest moim złym stanem zdrowia”.

Emerytura, czyli w brutalnym języku biurokracji „renta starcza”, najkrócej bywa wypłacana ludziom, którzy ciężko pracowali i najbardziej angażowali się emocjonalnie w pracy. Hetman sprawozdawców, najpopularniejszy radiowiec Śląska, zaledwie dwa lata pobierał ciężko zapracowaną rentę starczą. Dożył swoich lat w Państwowym Domu Opieki Społecznej nr 5 w Henrykowie pod Warszawą. Lekarze nie mogli się nadziwić, dlaczego organizm 63-letniego mężczyzny wykazuje cechy 90-letniego starca. Transmisje nie „zjadły” Witolda Dobrowolskiego – one do spółki z nieprzychylnym losem go pożarły.

Zmarł 14 lipca 1975 r.

Do rodzinnego Zagłębia powrócił z Warszawy, aby spocząć w dniu 18 lipca w grobie na cmentarzu zagórskim w Sosnowcu.

WITOLDA DOBROWOLSKIEGO WSPOMINAJĄ

Maciej J. K w i a t k o w s k i: „Styl to człowiek. Styl sprawozdawcy radiowego – to jego osobowość, bo pełne i długotrwałe napięcie w czasie transmisji wywraca człowieka podszewką do góry, ukazując jego wnętrze w pełnym świetle. Kultura osobista, wiedza, wrażliwość, inteligencja, szybkość i sposób kojarzenia, zasób słownika – nawet filozofia życiowa, zasady, którym hołduje sprawozdawca – wszystko to odkryją podobne do elektrowstrząsów napięcia transmisji. Są różne style i szkoły sprawozdawców. Jedni ustawiają się na pozycji chłodnego obserwatora – inni dają się jakby unieść wydarzeniu, są jego wrażliwymi – czasem najwrażliwszymi – uczestnikami. On był inny. On tkwił w samym środku wydarzenia, włączony jakby elektrodami w jego pulsowanie, wyczulony na zmienność rytmu, barwy, a przede wszystkim na sens i humanistyczny wyraz wydarzenia.

Jego sprawozdania miały głęboki ludzki ton, potrafił przekazać nie tylko widowiskową stronę transmitowanej imprezy (a trzeba podkreślić, że robił to z dużym malarskim wyczuciem), lecz także zwrócić umiejętnie uwagę, wydobyć i podkreślić ich najistotniejszą wartość – ludzkie przeżycia, wzloty i upadki, walkę z samym sobą. Bo chociaż w swoim wieloletnim i bogatym dorobku był sprawozdawcą z najróżniejszych wydarzeń: politycznych, społecznych, kulturalnych – to w pamięci milionów radiosłuchaczy pozostał jako znakomity, jedyny w swoim rodzaju sprawozdawca sportowy. Najlepsze jego lata przypadają na okres przedtelewizyjny 1945–1960, kiedy to potrafił wyczarowywać w wyobraźni milionów ludzi przy odbornikach obrazy relacjonowanych wydarzeń i dać im przedziwne uczucie współuczestniczenia. A i później – gdy telewizja już się w naszym kraju rozpowszechniła – pamiętam, że gdy oglądaliśmy w domu transmisje sportowe – moi synowie zawsze włączali dźwięk z radia, gdzie sprawozdawcą był Witold Dobrowolski.

Trudno o lepszy sprawdzian pracy reportera sportowego, niż taka konfrontacja transmisji telewizyjnej i radiowej. Wydawałoby się, że gdy się widzi to samo co sprawozdawca – jego relacja jest zbyteczna. Ale gdy dwóch patrzy na to samo – niekoniecznie widzi to samo: te same doznania optyczne przefiltrowane przez dwie różne osobowości dają dwa różne obrazy. Doznania optyczne filtrowane przez soczewkę osobowości Witolda Dobrowolskiego nabierały bogactwa przeżycia pogłębionego i wzbogaconego o doświadczenie, wiedzę, wrażliwość i system wartościowania. Dobrowolski nauczył tysiące ludzi w naszym kraju nie tylko patrzeć na widowiska sportowe – lecz także je przeżywać, wynosić z nich coś więcej niż chwilową emocję: szacunek dla zmagania się człowieka z samym sobą, dla tych momentów skupionej, napiętej »samotności długodystansowca«, samotności zawodników na wypełnionych po brzegi stadionach, zrozumienia dla pokonanego, który z siebie dał wszystko, mądrą powściągliwość zarówno w momentach triumfu i chwały, jak i porażek i załamań. Dobrowolski brał na siebie z pełną gotowością trudy i bardzo odpowiedzialny obowiązek – jakby dodatkowo, a ogromnie istotny – wychowawcy swoich słuchaczy.

Był wielką indywidualnością przy mikrofonie, miał swój własny, niepowtarzalny styl, specyficzny, bogaty i obrazowy język i własną filozofię sportu. Wbrew tak liczny zarzutom, wysuwanym pod adresem sprawozdawców radiowych, komentatorów telewizyjnych i w ogóle dziennikarzy sportowych, a dotyczącym poprawności językowej – Witold Dobrowolski potrafił udowodnić, że przy mikrofonie, »na żywo«, w napięciu nerwowym i stale zmieniającej się sytuacji można z szybkością piłki toczącej się po boisku mówić nie tylko poprawnie, ale i pięknie, obrazowo, z właściwą intonacją, bez piał i łań, wprowadzając słuchaczy w nastrój, dramaturgię i piękno relacjonowanego wydarzenia, dając radiosłuchaczom głębokie przeżycie, a nie namiastkę, czy relację z drugiej ręki. Wiele materiału do badań nad współczesną polszczyzną mówioną mogłoby znaleźć językoznawcy w nagraniach jego sprawozdań. Dobrowolski miał głębokie poczucie odpowiedzialności za słowo, za jego treść, formę i piękno.

Obok niepowtarzalnego talentu sprawozdawcy miał Witold Dobrowolski inny rzadki dar – umiejętność przekazania swoich umiejętności innym, pomagania w rozwoju osobowości twórczej pracowników mikrofonu. Wielu znakomych radiowców dziś starszego pokolenia z dumą uważa go za swojego mistrza i nauczyciela. Legendarny już kurs dla sprawozdawców i reporterów w Soplicowie,

zorganizowany przez niego w styczniu 1955 roku był istną kuźnią radiowych talentów [...]

Kurs w Soplicowie wypracował nowoczesne metody szkolenia sprawozdawców i reporterów, miał stać się wzorem dla następnych. Wydawało się, że otwiera on nową erę poszukiwań, nowatorstwa radiowego, nowoczesnego szkolenia. Doświadczenia i metody wypracowane w Soplicowie przejęła i zastosowała w swoim szkoleniu... BBC. Osiągnięcia te łączono słusznie z osobą organizatora i kierownika tego historycznego kursu – Witolda Dobrowolskiego. Roztoczono przed nim cudowne miraże w Warszawie połączone jednocześnie z nadzorem nad rozbudowanym szkoleniem i doskonaleniem kadr radiowych reporterów i sprawozdawców. I... czasem dzieją się w tym kraju rzeczy dziwne, zupełnie jakby współczesny diabeł Boruta machnął ogonem. Zamiast rozbudowy szkolenia, w ramach kolejnej reorganizacji, nastąpiła jego likwidacja, i to tak dokładna, że Polskie Radio oddało własny, dobrze wyposażony podwarszawski ośrodek, aby przez następnych 30 lat nie odzyskać odpowiednich warunków dla tak nieodzownego podnoszenia kwalifikacji własnej kadry. W roku 1955, gdy rezultaty kursu w Soplicowie i następnych tak prowadzonych szkoleń dały bardzo dobre rezultaty, których najlepszym sprawdzianem był Międzynarodowy Festiwal Młodzieży i Studentów, Witold Dobrowolski otrzymał specjalny urlop, aby mógł podsumować doświadczenia i opracować perspektywiczny program systematycznego szkolenia mikrofonowej kadry, a zwłaszcza sprawozdawców, reporterów i komentatorów – krótko mówiąc »pierwszej linii mikrofonowej« [...].

W aktach personalnych figuruje z tego okresu opinia: »Najwybitniejszy dziennikarz sportowy, niedościgniona klasa reportażu dźwiękowego, udział w najpoważniejszych imprezach sportowych w kraju i zagranicą«. Ale już gdzieś w kulisach przemykał się chytry diabeł Boruta. »Pilna potrzeba opracowania systemu szkolenia sprawozdawców i reporterów Polskiego Radia« – jak pisano z namaszczeniem – w dokumentach okazuje się nie taka znowu pilna, skoro jednym pociągnięciem pióra czy przysłowiowego »długiego ołówka« zostało zlikwidowane Biuro Szkolenia, a wkrótce po nim Biuro Studiów i Oceny Programów. Zrezygnowano z ośrodka szkoleniowego”.

Zbigniew W o j c i e c h o w s k i: „O Witoldzie Dobrowolskim należy pisać z pokorą i szacunkiem. Takie przesłanie kieruje mną kiedy siedzę przy maszynie i przywołuję w pamięci Jego postać. Był bowiem On nie tylko najwybitniejszym powojennym radiowym sprawozdawcą (nie tylko sportowym), ale i jednym z nielicznych Nauczycieli tego trudnego zawodu. Wybitnym sprawozdawcą – dziennikarzem radiowym był Tomaszewski, ale kogo on wychował, nauczył? A Dobrowolski chciał i umiał uczyć radia. Dziennikarki radiowej – w jej specyficznych przeróżnych formach. Poczytuję sobie za zaszczyt, że jednym z jego uczniów byłem na »historycznym« kursie dla sprawozdawców w Soplicowie [23 V–5 VI 1955 r. – przyp: autora].

Przed Festiwalem Młodzieży i Studentów w Warszawie Polskie Radio postanowiło zorganizować kurs dla sprawozdawców i reporterów radiowych, którzy w przyszłości, takie było założenie tego szkolenia, mieli pracować z mikrofonem. Na kurs ten mogli się zgłaszać wszyscy pracownicy Radiokomiteu, nie tylko pracownicy programowi–dziennikarze. Pamiętam z tego okresu: Ewę Skudro, Czesława Berendę, Witolda Stankowskiego, Jerzego Kowalskiego, Michała Wiś-

nickiego, Witolda Zadrowskiego (późniejszego zdobywcę Prix Italia) oraz już nieżyjących: Barbarę Czekałową, Jana Ciszewskiego, Tadeusza Nowickiego i Aleksandra Lubańskiego.

Warunkiem zakwalifikowania się na ten kurs było zdanie egzaminu, który obejmował przede wszystkim bezpośrednią relację do mikrofonu (w moim wypadku był to pusty zimowy park Agrikoli), opisanie tego co się widziało i rozmowę kandydata z Komisją Egzaminacyjną. Tak więc w Soplicowie, obok dziennikarzy, byli ludzie wprawdzie znający radio, ale nieprzygotowani do tego zawodu. Kurs ten prowadził Witold Dobrowolski. Było jeszcze sporo innych dziennikarzy-wykładowców, ale Dobrowolski był cały czas z nami i pełnił funkcję Kierownika Szkolenia. Nazywaliśmy go żartobliwie »Panem Rektorem«. »Dziekanem« był Maciej J. Kwiatkowski, historyk radia, wtedy jeszcze pracujący w Biurze Szkolenia – komórce, która wydawała wtedy nader przydatne skrypty, tłumaczenia prac teoretycznych wybitnych radiowych i telewizyjnych dziennikarzy z BBC i innych stacji zachodnich.

Dobrowolski był bardzo przejęty swoją rolą i chciał nam jak najwięcej przekazać ze swoich doświadczeń sprawozdawcy. Z tych wielu godzin spędzonych na przeróżnych wykładach, praktycznych ćwiczeniach z mikrofonem, najbardziej żywe w pamięci zostały wieczorne gadulce z Panem Witoldem. Po kolacji, gdy część osób zasiadała do brydża, część sęczyła alkohole, grupka wiernych słuchaczy zbierała się w pokoju i słuchała opowieści Dobrowolskiego. Ach, jak on wspaniale potrafił mówić o radiu. Jak się wtedy zapalał, jak barwnie opisywał każde nawet najdrobniejsze, błahe na pozór zdarzenie. Jak pouczające były to opowieści. Żałuję teraz, że nikt ich nie spisywał. Anegdota, czasem wręcz groteskowe zdarzenia, których w tym czasie życie nam nie skąpiło. Właściwie były to mini-słuchowiska, teatr jednego aktora. Monolog, który jednocześnie był wykładem o reportażach, o operowaniu głosem, o felietonach, o tym co się czuje, gdy dziennikarz staje przed mikrofonem i ma coś do tego magicznego »sitka« powiedzieć. Jeśli ktoś jeszcze nie poznał smaku radia, nie pokochał tej roboty, to na pewno słuchając Dobrowolskiego stracił głowę dla mikrofonu. Dobrowolski nigdy nie mówił chłodno, nie miał pseudointelektualnego dystansu, nie ważył, nie celebrował słów. On nas rozpalał ekspresją, zaangażowaniem, on wyczarowywał słowami sytuacje, obrazy. Był wspaniałym opowiadaczem. Jednakże każda z tych opowieści nam podawanych zawierała jakąś pointę, naukę o radiu. Jedna z nich dotyczyła mojej osoby i gaffy jaką popełniłem na Egzaminie Kwalifikującym na kurs.

Jak wcześniej napisałem, pierwsze zadanie, które mi zlecono do wykonania – był opis tego co widzę z otwartego okna. Okno wychodziło na pusty zimowy park. Nic właściwie się nie działo. Nieruchome kikuty bezlistnych drzew, które swoją czernią odcinały się na białym świeżo upadłym śniegu. O czym tu mówić przez 5 minut, bo tyle każdy miał czasu na swoją relację. Więc gdy technik dał znak ręką, że mogę zaczynać, spokojnym półszepcetem, mówiłem o cisy parku, o tym smutku, który wywołuje ten obraz, o przemijaniu czasu i innych kojarzących mi się z tym obrazem sprawach. Tak się wciągnąłem w ten nastrój smutku, że pod koniec reminiscencji byłem autentycznie wzruszony, co zresztą wyłowiła magnetofonowa taśma. Po mnie do pokoju wszedł mój kolega z Łodzi, student prawa Michał Walczak. On miał takie samo zadanie. Przez zamknięte drzwi słyszałem jego donośny głos. Mówił jak karabin maszynowy. Miał dużą łatwość wymowy.

Było to właściwie sprawozdanie sportowe z jakiegoś meczu. – Właśnie przeleciał ptak. Siada na gałęzi. Rusza głową, patrzy w stronę ulicy, znów leci, macha skrzydłami, zbliża się do drugiego drzewa. Siądzie? Nie, leci dalej... – i tak dalej, i tak dalej przez całe pięć minut.

Potoczystość wymowy Walczaka zrobiła na mnie wrażenie. Trzeba mówić szybciej, relacjonować, a nie opowiadać jakieś smętki jesienno-zimowe, smutne mruczanki.

I gdy przewodniczący Komisji spytał się, czy ktoś chce swoje nagranie poprawić, powtórzyć – natychmiast zgłosiłem się i zrobiłem sprawozdanie w stylu Walczaka. Gdy skończyłem, Zdzisław Nardelli, który przewodniczył Komisji, natychmiast mnie poprosił do pokoju, i spytał co mi strzeliło do głowy, by po raz drugi, i to tak makabrycznie, relacjonować widok z okna. Pierwszą moją relację Komisja oceniała najwyżej. Było to najlepiej wykonane nagranie, a ta nieszczęsna powtórka, jak się okazało, jednym wielkim nieporozumieniem. Wyjawiłem moje rozterki, moje zapatwienie.

Ale w Soplicowie, też popełniłem podczas kolejnych ćwiczeń z mikrofonem, podobny błąd i naśladowałem podświadomie Dobrowolskiego. Nie wiem, czy to były zapożyczone charakterystyczne zwroty, czy intonacja, czas już przykurzył w mojej pamięci tamten epizod, ale pamiętam jego skutki. Była to długa rozmowa z Dobrowolskim o osobowości radiowej, o tym, że mikrofon nie znosi fałszu, naśladownictwa. Stoisz przed mikrofonem, musisz być sobą. Musisz szczerze mówić co czujesz, co myślisz. Gdyby wszyscy w radiu mówili jednakowo albo podobnie, nie można by tego słuchać. Radio potrzebuje indywidualności. Każdy człowiek jest inny – i tę swoją inność, która stwarza postać radiową – trzeba eksponować, a nie chować pod zapożyczonym z cudzego łóżka kocem.

Zapamiętałem, tamten wieczór, tamte dobre rady »Pana Rektora« i nieraz do nich wracałem, w tej chwili skupienia przed wejściem na antenę, na kilkadziesiąt sekund, nim Warszawa odda mi głos, a ja zacznę: – Z Łodzi mówi Zbigniew Wojciechowski.

Zbigniew Wojciechowski – nie marna kopia, Dobrowolskiego, Tomaszewskiego, Tuszyńskiego...”

Roman P a s z k o w s k i: „O Witoldzie Dobrowolskim jako sprawozdawcy – wiemy wiele. Ja osobiście, jako jego podwładny i kolega redakcyjny, chciałbym podkreślić niezwykłą uczynność Witolda i serdeczną gotowość w niesieniu pomocy nie tylko najbliższym mu współpracownikom z redakcji sportowej, lecz także wszystkim młodszym kolegom z innych działów. Potrafił godzinami przesłuchiwać nagrania, a potem dyskutować na tematy zawodowo-warsztatowe, również godzinami, bo często zatracił poczucie upływającego czasu. [...] Wprowadził na antenę katowickiej rozgłośni PR audycję pt. *Z mikrofonem po boiskach*, która stała się pierwowzorem dla bardzo popularnej później pozycji w rozgłośni centralnej w Warszawie – Studio S-13. [...] Był urodzonym gawędziarzem, ze skłonnością do sympatycznego koloryzowania. Miał wszechstronne zainteresowania, głównie natury humanistycznej, co dodawało wartości jego antenowej sprawozdawczości i bardzo wzbogacało jego – jak mawialiśmy »gadki« przy biurku redakcyjnym. Zawsze otoczony był gronem słuchaczy, którzy w ten sposób kontaktowali się z doskonałym językiem i na pewno rozszerzali swoje horyzonty myślowe [...] Witold, jako szef kształtujący profil redakcji sportowej w

Katowicach, kładł nacisk na wszechstronność warsztatu dziennikarskiego. Każdy z nas obowiązany był opracowywać tematy w różnych formach: komentarz, reportaż dźwiękowy i pisany, felieton, scenka, a nawet znajdowało się miejsce na wierszyki i piosenki w bardzo chętnie słuchanej i popularnej audycji słowno-muzycznej *W rytmie sportowym* [...]

Stefan W y s o c k i: „29 lat temu jechaliśmy na stadion chorzowski, by przeprowadzić transmisję z pierwszego po wojnie meczu piłkarskiego z Anglią. Tłok był nieprawdopodobny, nasz stary – nowych wtedy nie było – radiowy samochód przedzierał się z trudem do służbowej bramy stadionu, potem my sami przedzieraliśmy się jeszcze z większym trudem do swoich miejsc. Znakomity reporter, znakomity sprawozdawca – Witold Dobrowolski i ja – jego skromny pomocnik.

Kiedy byłem na urlopie, teraz właśnie – z głośnika radiowego dowiedziałem się, że Witold nie żyje. Stąd te spóźnione wspomnienia, żem dopiero co wrócił. A pusto się zrobiło. Odszedł człowiek – jeśli rozumieją państwo, co mam na myśli, pamiętając o maksymie, iż najważniejszy jest procent CZŁOWIEKA w człowieku. Nie tylko cudowny, pełen temperamentu przekazywacz wrażeń – przekazywacz tak sugestywny, tak szczery w tym co mówił, tak wyprany z wszelkiej pozy i minoderii, a przy tym tak celny dzięki swej rzeczywistej fachowości i świetnej polszczyźnie, iż w istocie było się z NIM na stadionie; otóż, nie tylko to. Odszedł PRZYJACIEL LUDZI, pełen pasji i odwagi w bronienu ich, jeśli zasługiwali na obronę, lub w atakowaniu, jeśli na to zasługiwali. Ale te ataki były też niesłychanie ludzkie: nic z osobistego zaciętrzewienia, a tylko wiara w słuszność akcji. Otóż i to: Witold był jednym z ostatnich romantyków, gotowych za dobrą sprawę iść wszędzie, i narażać się wszystkim. Szanowano go za to, kochano go za to – i odwrotnie, tak w życiu bywa. Tylko, że dzięki takim cechom można też było Witolda widzieć bez żadnych osłonek: on mówił to co myślał, a myślał to, co mówił. I również pisał to samo, i taki sam był przy mikrofonie. Mówi się dziś modnie o takich (ale, niestety, dość rzadkich), że są AUTENTYCZNI. Witold był autentyczny zawsze i wszędzie. Pełen poczucia humoru, ogromnej serdeczności, gotów pomagać wszystkim i o każdej porze. Wykorzystywano to. Czasem nadmiernie. Nie odmawiał nigdy. Ale go to, i całe szalenie intensywne życie zmęczyło. Zmarł za wcześniej – ale też pracował za czterech.

Nie ma mistrza początków mojego terminowania radiowego, nie ma przyjaciela, nie ma cudownego, odważnego człowieka. No i nie ma jednego z najlepszych, jeśli nie najlepszego sprawozdawcy. Została pustka trudna do wypełnienia”.

Mariusz W a l t e r: „W końcu lat pięćdziesiątych studiowałem na politechnice gliwickiej, tam też po raz pierwszy zetknąłem się z radiem. Studencki radiowęzeł w Gliwicach był chyba najlepszym studenckim radiem w Polsce. W nocnych wielogodzinnych programach oprócz muzyki, dzienników, publicystyki i reportaży były również... transmisje sportowe. Piłkarska liga wydziałów ściągała na sąsiednie boisko »kleryków« więcej widzów niż mieścił mini-stadion.

I tak któregoś dnia usiadłem przed mikrofonem studenckiego radia, by transmitować mecz.

Próbowałem kiedyś grać w piłkę, niestety, bez cienia sukcesu, ale starałem się być sportowcem tak długo, że kiedy potem usiadłem przed mikrofonem, wiedziałem chociaż o czym mówię.

Gdy kilku kolegów poklepało mnie po ramieniu, jako dowód uznania za pierwszy występ w roli sprawozdawcy sportowego zvariowałem na tyle, że parę dni później stałem przed drzwiami redakcji Witolda Dobrowolskiego w katowickim Polskim Radiu. Zapukałem, wszedłem i wydusiłem z siebie: chciałem prosić o umożliwienie mi próby w profesjonalnym radiu... Witold Dobrowolski podniósł wzrok znad gazety i spokojnym głosem powiedział: dzień dobry, nazywam się Witold Dobrowolski, a pan? On to uwielbiał – »gotować« kogoś, aby zaraz potem pomóc. Proszę, niech pan siada i powie mi coś o sobie... Skoro nie wyrzucił mnie za drzwi ruszyłem z recytowaniem wcześniej przygotowanej lekcji. Udało się. Zgłosił mnie do konkursu na sprawozdawców, później przyjął do radia, a kiedy nosiłem już legitymację Polskiego Radia był dla mnie mądrym nauczycielem, cierpliwym dyskutantem i bezwzględny recenzentem. Nie wiem czy jeszcze ktoś poza Witoldem Dobrowolskim w moim życiu zawodowym poświęcił mi tyle uwagi w nauce zawodu. Kto znał Witolda, wie czym był dla niego język ojczysty – świątynią. Sam zbierałem razy wielokrotnie, każdego dnia, a codziennej lekcji języka dopełniały ostre reprimendy kierowane nieraz z furją pod adresem Janka Ciszewskiego. Tylko Roman Paszkowski ze spokojem mógł przychodzić do redakcji; stosunek Dobrowolskiego do sportu był wyjątkowy. To nie igrzyska, tylko – mówił – część kultury i dotąd nic w sporcie nie będziemy znaczyć dokąd tego nie zrozumiemy. Witold wiele czytał, pożyczał książki i wymagał tego od nas, a szczególnie od Janka Ciszewskiego, którego słusznie uważał za najprawdziwszy talent. Kiedy przyszło mi teraz napisać kilka słów, uzmysłowiłem sobie, że nigdy wspominając Dobrowolskiego nie myślałem o nim jako o sprawozdawcy sportowym; zawsze wracał w mojej pamięci jako szlachetny nauczyciel życia, cierpliwy, zawsze pomocny przyjaciel.

Jedną z jego pasji i umiejętności była część kultury – sport”.

ŹRÓDŁA I LITERATURA

Cergo, TV i my, „Przegląd Sportowy”, 1966, nr 136; czar., *Bez pół czarnej z Witoldem Dobrowolskim*, „Radio i Telewizja”, 1964, nr 47; W. Dobrowolski, *W przeddzień zawodów FIS*, „Antena”, 1939, nr 6; t e n ż e: *W usportowanej rozgłośni*, „Radio i Świat”, 1946, nr 34; t e n ż e: *Fatalny Longines*, „Sport”, 1969, nr 154–155; t e n ż e: *Niech mi Pele wybaczy*, „Sport”, 1969, nr 154–155;teczka personalna, Archiwum Aktowe PR i TV; Z. Dobrowolski, *List do redakcji. Jeszcze o Witku*, „Radio i Telewizja”, 1975, nr 35; A. Konieczny, *Witold Dobrowolski*, [w:] *Na śląskiej fali 1927–1977*, Katowice 1977, s. 144–154. M. J. Kwiatkowski, *Ludzie Radia – szkice i portrety*, Seria I, maszynopis przygotowanej książki udostępnionej przez autora; t e n ż e: *Hetman sprawozdawców*, „Radio i Telewizja”, 1973, nr 14; t e n ż e: *Hetman sprawozdawców*, „Radio i Telewizja”, 1974, nr 2–8 IV; t e n ż e: *Witek*, „Radio i Telewizja”, 1975, nr 31; S. Mielech, *Transmisja wielkiego meczu piłkarskiego*, „Antena”, 1958, nr 10; R. Paszkowski, *O Witku Dobrowolskim, list do autora*, Katowice 22 III 1986; S. S., *Przy mikrofonie red. Dobrowolski*, „Radio i Świat”, 1953, nr 35; M. Tygelska, *To już 35 lat – mówi Witold Dobrowolski*, „Radio i Telewizja”, 1969, nr 47; M. Walter, *Wspomnienie o Witoldzie Dobrowolskim*, Warszawa 1991, maszynopis w zbiorach autora; *Witold Dobrowolski*, „Radio i Telewizja”, 1969, nr 2; Z. Wojciechowski, *Moje wspomnienie o Witoldzie Dobrowolskim*, Łódź 1986, maszynopis w zbiorach autora; S. Wysocki, *Lewy prosty*, tekst audycji radiowej, Warszawa 4 sierpnia 1975, maszynopis w zbiorach autora; *Zmarł Witold Dobrowolski*, „Przegląd Sportowy”, 1975, nr 137; *Zmarł red. Witold Dobrowolski*, „Sport”, 1975, nr 139; *50 lat Radia Katowice*, „Sport”, 1977, nr 212.